Bomba atomowa w czeskiej TV

45 tys. widzów, którzy oglądali w niedzielę rano kanał drugi Czeskiej Telewizji ČT, zobaczyło efektowny wybuch bomby. Zainscenizowali go hakerzy, którzy włamali się do telewizyjnych komputerów.

Wybuch był na szczęście fikcyjny. Hakerzy wmontowali atomowy grzyb w panoramę czeskich Karkonoszy.

- Nie jesteśmy żadną grupą terrorystyczną, nie chcieliśmy też nikogo zastraszyć - napisali na swojej stronie internetowej członkowie grupy "Ztohoven" (w wolnym tłumaczeniu "Ztegotam").

- Tych, których emisja śmiertelnie wystraszyła, przepraszamy - mówił w poniedziałek rzecznik i performer grupy Zdenek Dostal.

"Ztohoven" zapowiada jednak, że nie zamierza zaniechać kolejnych akcji. W dodatku - według zasad, które przyjęła grupa - każda akcja musi być większa i bardziej spektakularna niż poprzednia - wyjaśnia założyciel "Ztohoven", artysta Roman Týc.

"Grupa napadła na przestrzeń medialną, by podważyć jej prawdziwość. Chcemy zwrócić uwagę na możliwość zastąpienia obrazu świata realnego medialnym" - brzmi fragment oświadczenia grupy.

Za swoją artystyczną inicjatywę teraz członkowie grupy mogą stanąć przed sądem. Grozi im do pięciu lat więzienia. - Zdajemy sobie sprawę z możliwej kary i z taką świadomością podejmowaliśmy tę inicjatywę - mówi Zdenek Dostál.

Według rzecznika Czeskiej Telewizji Martina Krafla, od poniedziałku sprawę bada policja. Sama telewizja planuje złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Będzie się domagać odszkodowania za naruszenie przekazu telewizyjnego.

Grupa "Ztohoven" nie ujawnia nazwisk członków, ani konkretnego programu. Według Dostala zrzesza około 100 młodych ludzi, których celem jest zwrócenie uwagi obywateli na aktualne problemy społeczne.

W piżamie na ulicę...

Wiele osób o tym wiedziało od dawna: amerykańskie szpitale wyrzucają biednych pacjentów na ulicę. Teraz gdy Michael Moore pokazał takie incydenty w filmie "Sicko", CNN i inne media zdecydowały, że warto zacząć o tym mówić.

Dwa szpitale i firma transportowa z Los Angeles zostały oskarżone o wyrzucanie bezdomnych na ulicę.

- Bezdomni często nie mają ubezpieczenia i potrafią być nieprzyjemni. Szpitale w Los Angeles radziły sobie z takimi pacjentami w najprostszy sposób: dosłownie wyrzucały ich na ulicę - mówi Anderson Cooper, reporter telewizji CNN.

Gazety piszą, że "pogłoski" o takim traktowaniu bezdomnych chorych krążyły po mieście od dawna. Twierdzą, że rzecz "wyszła na jaw", gdy załoga karetki Presbyterian Hospital w Hollywood, porzuciła sparaliżowanego mężczyznę cztery przecznice od szpitala.

- Świadkowie opowiadali, że samochód się zatrzymał, a ten mężczyzna dosłownie wypadł ze środka. Kierowcy stali obok i, mimo interwencji przechodniów, nie robili nic, żeby mu pomóc. Wyrzucony jest sparaliżowany i nie ma władzy w nogach. Czołgał się na rękach. A karetka odjechała - relacjonował telewizji CBS prokurator, zajmujący się tą sprawą.

Akt oskarżenia przeciwko Hollywood Presbyterian Hospital i Methodist Hospital w Arcadii trafił już do sądu. Wśród oskarżonych jest też kobieta kierująca karetką, która porzuciła sparaliżowanego Gabino Olverę na ulicy.

Niemcy: Katolicka młodzież wzywa do bojkotu Coca-Coli

Katolicki Krajowy Ruch Młodzieżowy Niemiec (KLJB), zrzeszający ok. 70 tys. członków, zaapelował do młodzieży o bojkot produktów koncernu Coca-Cola ponieważ koncern łamie praw pracowników. Oprócz tego, Coca Cola, poprzez głębokie studnie zasilające w Indiach zaniża poziom wód gruntowych, ograniczając tym samym ludności swobodny dostęp do wody pitnej.

KLJB wezwała do kupowania napojów małych i średnich przedsiębiorców w regionach, przestrzegających zasad uczciwej konkurencji, praw człowieka i ekologii.

"WYBIJ SOBIE Z GŁOWY SZUKAĆ NA KOMENDZIE PRACY!"

Nowojorska policja biła prawników

Michael Tarif Warren to jeden z najbardziej znanych prawników w Nowym Jorku, zaangażowany w obronę ludzi przeciw przemocy policyjnej. W czwartek wraz z żoną Evelyn, która także jest prawniczką, stali się świadkami incydentu przemocy jadąc samochodem.

Około godz. 18:00 jechali jedną z ulic na Brooklynie, kiedy zobaczyli, że policja kopie i bije młodego człowieka. Miał już kajdanki na sobie i leżał na ziemi na parkingu, a policja kopała go w twarz i inne częściach ciała. Prawnicy wyskoczyli z samochodu.

Oznajmili, że są prawnikami i że policja powinna przestać. Policja wtedy zareagowała ostro. Prawnicy wrócili do samochodu, gdzie zaczęli spisywać dane policjantów, więc policjanci zaczęli bić Michaela i w końcu zatrzymali oboje. Prawnikom postawili różne zarzuty, m.in. o przeszkadzanie funkcjonariuszom w wykonywaniu czynności służbowych.

Ale ktoś widział, jak ich zatrzymano i kilkaset osób pojawiło się pod komendą. Wiele różnych grup aktywistów oraz kilku polityków domagają się, żeby policja zwolniła tych policjantów, którzy bili młodego człowieka oraz Warrena i postawiła im zarzuty. Chcą także wykorzystać tę sprawę, aby znowu nagłośnić kwestię przemocy policyjnej.

Policjanci molestowali pijanych

Najpierw zawieźli ich do izby wytrzeźwień. A tam zmusili ich, by odbyli między sobą stosunek homoseksualny. 2 czerwca dwóch policjantów patrolujących radiowozem ulice Poznania natknęło się na dwóch pijanych mężczyzn znanych z częstych wizyt w izbie wytrzeźwień. W takim przypadku policja musi odwieźć delikwentów do domu lub do izby. Policjanci wybrali izbę.

Tam spotkali inny patrol i wspólnie wymyślili "rozrywkę" - kazali dwóm pijanym uprawiać seks. Przyglądał się temu lekarz na dyżurze i dwóch pielęgniarzy. Po jakimś czasie jeden z policjantów zaczął opowiadać o zabawie kolegom. Dowiedzieli się o tym szefowie poznańskiej policji. Powiadomili prokuraturę. Siedem osób, które brały udział w zdarzeniu, ma postawione zarzuty znieważenia dwóch mężczyzn.

Grecja: Policyjne tortury ujawnione

24 czerwca 2006 roku czterech policjantów torturowało dwójkę emigrantów na komisariacie w dzielnicy Omonia w centrum Aten. Zatrzymani zostali zmuszeni, by bić się nawzajem – cały proceder został zarejestrowany przez jednego z oprawców za pomocą telefonu komórkowego. Funkcjonariusz cały czas krzyczał, by bić mocniej. Przez prawie rok brutalny film krążył pomiędzy policjantami, przegrywany z telefonu na telefon.

16 czerwca 2007 roku wideo zostało wgrane na serwis służący do publikacji mediów. Już kilka godzin później nagranie wywołało burzę w mainstreamowych greckich mediach – premier Karamanlis był zmuszony prezentować swoje stanowisko na specjalnej konferencji prasowej. Szef rządu wsparł w swoim wystąpieniu ministra porządku publicznego – Polydorasa. Stwierdził, że zarówno zdarzenie uwiecznione na filmie, jak też doniesienia o postrzeleniach, pobiciach, porwaniach i zabójstwach, których policja nagminnie dopuszcza się wobec imigrantów, to jedynie rzadkie incydenty.

Policja uszkodziła wzrok demonstranta

Matt z Liverpoolu brał udział w blokadzie zachodniej bramy wiodącej do Heiligendamm, która była całkowicie oparta na zasadzie non-violence.

Pomimo tego, policja użyła armatek wodnych wycelowanych w twarze demonstrantów, gazu pieprzowego oraz pałek. Matt otrzymał uderzenie w lewe oko. W wyniku uderzenia, stwierdzono wewnętrzny krwotok, uszkodzoną tęczówkę. Lekarze podejrzewają również, że doszło do oderwania siatkówki.

Nie wygląda to na przypadek, gdyż sześć innych uczestników odniosło podobne obrażenia oczu w wyniku ataku armatkami wodnymi. Jeden protestujący ma przebity bębenek. Matt i inni poszkodowani zamierzają wytoczyć proces policji.

źródło: ***WWW.CIA.BZZZ.NET***

A więc anarchizm oznacza chaos, tak?
Nie, nie chcemy podziału na rządzących i rządzonych, pracowników i szefów, wydających rozkazy i wykonujących je. Chcemy świata zarządzanego oddolnie, gdzie decyzje będą podejmowane bezpośrednio przez tych, których owe decyzje będą dotyczyć, nie przez jakąkolwiek elite, czy to wybraną, czy to narzuconą.

Miejsca pracy chyba jednak potrzebują szefów, by nimi zarządzać?
Nie, w anarchistycznym społeczeństwie, miejsca pracy, miejsca zamieszkania oraz inne formy stowarzyszeń zarządzane byłyby poprzez bezpośrednie zebrania ich uczestników, z równym wpływem na decyzje ich dotyczące. Ujmując to inaczej – jeżeli miałbyś z głowy szefa i pracowałbyś wraz z innymi, „na swoim" (a dokładnie „na naszym"), czy pracowałbyś lepiej i wydajniej? Napewno! Tak jak wszystko, co jest robione bez kogoś dyktującego nam co i jak mamy robić, jest wykonane lepiej. Mógłbyś pracować sam, z kilkoma ludźmi, lub jako część dużej organizacji, bez szefów i na własnych warunkach.

Kto zarządzałby wszystkim w takim razie?
Ty zarządzałbyś swoim życiem, tak jak i ja swoim. Jednak są takie sfery życia społecznego które wymagają wspólnego podejmowania decyzji. Sprawami administracyjnymi mogłyby się zająć wybierane komitety-delegacje, lecz takowe nie miały by władzy, jedynie obowiązek wykonywać zaleceń tych, którzy je wybrali. Delegacje te byłyby tymczasowe i mogłyby działałać na zasadzie wolontariatu, co zapewniłoby, że funkcje te pełniliby prawdziwi „społecznicy", a nie karierowicze. Ludzie pełniący takie funkcje mogliby być odwoływani, jeżeli przekroczyliby swoje kompetencje, lub działali niezgodnie z zaleceniem wyborców. „Anarchizm nie oznacza braku instytucji wogóle, lecz tylko takich, które zmuszają człowieka do podporządkowania się przemocy" - Lew Tołstoj.

A co z bezpieczeństwem?
Oczywiście nie dążymy do sytuacji, w której na ulicy rządzić będzie prawo silniejszego (tak jak jest np. teraz...) a spory będą rozstrzygane poprzez samosądy. Jesteśmy głęboko przekonani, iż przymusowa instytucja państwa nie jest niezbędna do tego by dostarczać usług policyjnych lub sądowniczych. Takowymi mogłyby się zająć prywatne, bądź społeczne inicjatywy. Instytucje te, byłyby bardziej efektywne i rzetelne.

Chciałbym dowiedzieć się więcej!
Zobacz:
WWW.ANARCHIFAQ.MOST.ORG.PL
WWW.BRACTWOTROJKA.PRV.PL

Pytania, chęć działania, frustracje kierujcie na: ***acab@autograf.pl***

Wszystkie teksty w piśmie pochodzą z portalu Centrum Informacji Anarchistycznej, chyba że zaznaczono inaczej...

NAMIARY:

Internet:
Centrum Informacji Anarchistycznej: www.cia.bzzz.net
Federacja Anarchistyczna: www.fa.most.org.pl
Anarchistyczny Czarny Krzyż: www.ack.most.org.pl
Inicjatywa Pracownicza: www.ozzip.pl
Internetowa Biblioteka Wolnościowa: www.ibw.com.pl
Anarchopedia: www.pol.anarchopedia.org
Anarchistyczne FAQ: www.anarchifaq.most.org.pl

Lokale:
Komitet Pomocy i Obrony Represjonowanych Pracowników – Wrocław, ul. Piłsudzkiego 95 (I piętro) tel. 071 346 89 67, dyżur interwencyjny - czwartek: 15:00-17:00

Prasa:
Oficyna Wydalnicza Bractwa „Trojka" – www.bractwotrojka.prv.pl
Inny Świat – www.innyswiat.most.org.pl
Recykling Idei – www.recykling.uni.wroc.pl

Radio:
ALTERGODZINA - audycja społecznie zaangażowana. W każdy czwartek o godz. 22.00 w internetowym Akademickim Radiu LUZ www.radioluz.pwr.wroc.pl oraz we Wrocławiu na 91,3 FM.

przeciwko państwu i kapitalizmowi

Samorządna Rzeczpospolita

Pismo społecznych anarchistów #2/2007

WOLNOŚĆ ZACZYNA SIĘ TAM, GDZIE KOŃCZY SIĘ STRACH!!!

Rynek bez kapitalistów...

Napisała Frances Moore Lappe, 23 lipca 2006

W północnym regionie Włoch, autorka "Diety dla małej planety" odkryła ludzi, których sposób bycia, opierający się na współpracy, przypomina czym jest ludzka godność.

Ekonomia rynkowa i kapitalizm są synonimiczne – a przynajmniej ściśle ze sobą powiązane. W takim przekonaniu żyje większość amerykanów. Ale niekoniecznie tak jest. Kapitalizm – władza kontrolujących podaż po to, by wzbogacić udziałowców – jest tylko jednym ze sposobów działania rynku. Oczywiście trudno wyobrazić sobie jak mógłby działać jakiś system ekonomiczny jeśli operuje się tylko abstrakcjami. Pomocne byłoby pokazanie przykładu z rzeczywistości.

I właśnie zaraz to zrobię.

W maju spędziłam pięć dni w Emilia Romagna, regionie północno-środkowych Włoch, gdzie żyją cztery miliony ludzi. Tam, przez ostatnie 150 lat, sieć komunenckich rolniczych i zarządzanych przez pracowników spółdzielni zdołało wytworzyć od 30 do 40 procent regionalnego PKB. Dwóch na trzech ludzi w Emilia Romagna to członkowie spółdzielni.

Region, którego centrum jest Bolonia, jest domem dla 8000 spółdzielni, produkujących wszystko, od ceramiki, poprzez ubrania do specjalnego sera. Ich wysiłki są ze sobą powiązane poprzez sieci oparte o coś, co liderzy spółdzielni nazywają „wzajemną zależnością". Wszystkie spółdzielnie oddają 3 procenty swojego dochodu na wspólny fundusz służący rozwojowi spółdzielczego ruchu organizacji spółdzielczych i wsparciu spółdzielniom pomocy finansowej, doradzającej im w sprawach taktyk sprzedaży, prowadzeniu badań oraz przeprowadzającym szkolenia techniczne.

Założenie jest takie, że dzięki pomaganiu sobie wszyscy zyskują. I tak jest. Dochód na osobę jest o 50 procent wyższy w Emilia Romagna niż przeciętny dochód narodowy na osobę.

Korzenie ruchu spółdzielczego w Emilia Romagna sięgają głęboko – i są zróżnicowane. Tutaj w Stanach Zjednoczonych wielu sądzi, że katolicyzm i socjalizm są nie do pogodzenia. We Włoszech jest inaczej. Na włoską, powojenną lewicę miała duży wpływ krytyka kapitalizmu stworzona przez teoretyka socjalizmu, Antonio Gramsciego. Choć został uwięziony przez Mussoliniego i umarł jedenaście lat później, w wieku 46 lat, wciąż będąc pod strażą, poglądy Gramsciego przetrwały. Jednocześnie kościół zaczął doceniać rolę spółdzielczości we wzmacnianiu rodziny i wspólnoty – zgodnie z tym, co pisał papież Jan XXIII w encyklice z 1961.

Obydwie tradycje za cenne uważają te same rzeczy – szacunek dla pracy, sprawiedliwość i współpracę, i to czyni ich partnerami we wspieraniu polityki społecznej przyjaznej spółdzielczości. Spośród trzech krajowych grup zrzeszających spółdzielczych, dwa największe w Emilia Romagna to Lefi Legacoop, z milionem członków i Confcooperative, katolicki alians z ponad ćwierć milionem członków.

W 1920 faszyści zniszczyli zarówno spółdzielnie, jak i związki zawodowe. Ale po drugiej wojnie światowej, te ruchy spółdzielcze i związkowe ponownie odżyły, by odbudowywać zniszczone przez wojnę Włochy. Pracownicze i rolnicze spółdzielnie zaczęły działać. W budowie nowych mieszkań pomogły spółdzielnie działające na specjalne zamówienie i spółdzielnie konsumenckie. Od 1945 same spółdzielnie zajmujące się budowaniem domów powiązane z Legacoop zbudowały 50.000 mieszkań w Emilia Romagna.

Zainteresowana różnicami między dwoma historycznymi nurtami, spytałam się Davida Pieriego, specjalistę od energetyki około trzydziestki, który przewodzi rolniczej sekcji Confcooperative. Jaka była jego odpowiedź?

"Przedewszystkim różnice tkwią w historii i ludziach na kierownicznych stanowiskach", powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu w tej samej chwili, w której przybyliśmy zobaczyć spółdzielnie w działaniu.

O siódmej rano David zabiera mnie i mojego towarzysza Richarda Rowe'a z naszego hotelu w Bolonii na krótką wycieczkę na rogatki miasta, gdzie robi się Parmiagiano-Regiano – albo, po prostu, parmezan. Prawie 400 małych spółdzielni w Emilia Romagna wytwarza ten charakterystyczny ser.

O 8 rano oglądamy poranny rytuał spółdzielni Nuova Martignana: bardzo skupieni robotnicy mieszają fermentujące mleko w dwunastu rozgrzanych miedzianych pojemnikach w kształcie wanny. Czekają aż płyn nabierze właściwej gęstości, zanim, za pomocą wielkich płacht, wydzielą ze świeżego sera porcje.

David nie martwi się regułami WTO (Międzynarodowej Organizacji Handlu, przyp. tłum.), zgodnie z którymi należałoby zestandaryzować i pozbawić lokalnego kolorytu tego rodzaju działalność. Gdy patrzyliśmy jak serowarzy kosztował swój wyrób, zdawał się zbywać takie podejście, mówiąc: „Spójrz, to oni są artystami, sprawdzają to co zrobili własnymi rękoma".

W Bolonii jest też szansa porozmawiać z teoretykiem pracy spółdzielczej, profesorem Stefano Zamagni, którego David nazywa "naszym prorokiem".

"Praca jest okazja do samorealizacji, nie tylko jednym z czynników determinujących produkcję", napisał ekonomista Zamagni. Spółdzielczość oferuje drogę omijającą odczłowieczenie związane z kapitalizmem, jednocześnie pozwala wykorzystać zalety rynku. Dziesięć lat temu profesor stworzył serię zajęć dotyczących publicznego podziału dóbr i współpracy na wydziale ekonomii Uniwersytetu Bolońskiego. Od tego czasu zdało je 250. studentów.

Następnym zaskakującym elementem kultury tego rejonu jest to, że na początku 1991 odpowiedzialność za świadczenia socjalne w Emilia Romagna i innych regionach przejęły spółdzielnie. Przyjęto za zasadę, że przy usługach związanych z pomocą w szukaniu lub zmianie pracy, 30 procent pracowników zajmujących się tym spółdzielni musi pochodzić spośród samych zainteresowanych i, jeśli to tylko możliwe, powinno być członkiem jakiejś spółdzielni. Na działalność „socjalnych spółdzielni" przeznaczane są pewne środki pochodzące z podatków.

To podejście do spraw socjalnym wydaje się kolejnym sprytnym sposobem na uratowanie ludzkiej godności i jest zerwaniem z ponizającym podziałem na pomagających i tym, którym się pomaga. "To jest sposób interpretowania mojego życia, który mnie cieszy", powiedział David.

tłum. Jaś Skoczowski

wieści z frontu:

Strajk pracowników hipermarketów

W Boże Ciało NSZZ Solidarność zapowiedział strajk włoski w hipermarketach, jako protest przeciwko pracy w niedziele i święta w branży handlowej.

Jak się później okazało, pracownicy strajkowali jedynie w niewielkiej części sklepów. Jednym z powodów, było to, iż pracownicy byli zastraszani przez pracodawców, groźono im wyrzuceniem z pracy, fotografowano ich oraz demonstracyjnie obserwowano. Presja wywierana na pracowników była ogromna.
Dyrektorzy wielu sklepów, posadzili na kasach pracowników zewnętrznych firm. Na warszawskim Ursynowie, w Realu, zapowiedziano kasjerkom, że czekają już studenci, którzy zastąpią je w obsłudze klientów. Natomiast w jednym z marketów w południowej Polsce szef w Boże Ciało i w piątek biegał po sklepie krzycząc i wyzywając kasjerki. W Szczecinie dyrektorka nie spuszczała kasjerek z oka, podczas gdy te wykonywały swoje obowiązki. Część pracowników dała się skusić obietnicą dużej premii, którą dostaną jeśli będą wydajnie pracować w dzień strajku.

Nie bez znaczenia pozostaje postawa konsumentów, od której w dużej mierze zależy powodzenie takich działań. O tym jak wielką rolę mogą odgrywać konsumenci w walce z wyzyskiem, niech poświadczy przykład akcji emigrantów w USA, pt."Day without shopping".W jeden poniedziałek, wszyscy solidaryzujący się z walką o równouprawnienie dla emigrantów wstrzymali się od zakupów. Nie zatankowali aut, nie kupili porannej kawy, nie zjedli szybkiego lunchu, nie odwiedzili Walmartu... Po południu analityk finansowy na CNN(!) mówił już o stratach rzędu miliarda dolarów, odnotowanych po kilku godzinach bojkotu. Wystąpił tylko raz, później, dane pomniejszono itd., ale to był cios o sile podobnej przemarszom kilku milionów ludzi głównymi ulicami amerykańskich miast.

Niosą trumnę dla "pierwszej ofiary F-16"

Mieszkańcy poznańskiego osiedla Marlewo i wspierające ich grupy blokowali przez ok. 2 godziny drogę dojazdową do lotniska wojskowego w Krzesinach. Pretekstem do przeprowadzenia protestu były pokazy lotnicze organizowane przez dowództwo lotniska.

Konflikt mieszkańców Marlewa z wojskiem trwa od kilku lat. Zaraz po podjęciu decyzji o lokalizacji bazy F16 w Poznaniu, MON obiecywał, że wszyscy poszkodowani w związku z funkcjonowaniem bazy, szybko i sprawnie otrzymają odszkodowania, tak, aby mogli wyprowadzić się w inne miejsce. Szybko jednak okazało się, że osób takich jest bardzo wiele, a kwoty odszkodowań bywają ogromne. Wojsko odmówiło wypłaty jakichkolwiek odszkodowań, a mieszkańców odesłano do sądów. Takie sprawy ciągną się latami, a do tej pory wszelkie koszty pokrywać muszą skarżący, a nie są one małe. Wojsko natomiast wydaje pieniądze na adwokatów, którzy mają sprawić, aby ewentualne odszkodowania były jak najmniejsze.

Zorganizowanie w sytuacji konfliktu pokazów lotniczych jest śmianiem się w twarz mieszkańcom zmuszonym do życia w hałasie silników przekraczających 100 decybeli. Zarówno władze miejskie, wojewódzkie jak i wojskowe mają "gdzieś" problemy mieszkańców, za które są odpowiedzialne.

Sama demonstracja rozpoczęła się w ulewnym deszczu (dzięki któremu odwołano zresztą pokazy na lotnisku), uczestnicy demonstracji chodzili wokół dwóch przejść dla pieszych utrudniając przejazd samochodów i autokarów udających się na pokazy. Demonstracja była obstawiona licznie przez oddziały prewencji policji, które spychały demonstrujących z ulicy na nieutwardzone pobocze karząc im brodzić po kostki w błocie - co mieszkańcy Marlewa kwitowali stwierdzeniem "Zamiast kupować F16 lepiej byście nam chodniki zrobili, żebyśmy mieli po czym chodzić". Policja nagrywała również całą demonstrację z dwóch kamer. Liczna obecności policji była jedyną reakcją władz na postulaty mieszkańców.

Tak to się robi w Chile:

Kontaktowi pracownicy zatrudnieni przez największego na świecie producenta miedzi - państwową firmę "Codelco" - zaczęli strajk. Protestujący użyli płonących opon w celu zablokowania wyjść do kopalni i spalili autobusy oraz kilka budynków. Firma Codelco już straciła ponad USD 10 mln. z powodu strajku.

W proteście bierze udział 28 000 zatrudnionych. 71 pracowników już zostało zatrzymanych.

Codelco jest przedsiębiorstwem państwowym, wytwarza 10 proc. światowej produkcji miedzi. W tym roku ceny na ten kruszec wzrosły o 17 proc.

Rozpędzić G8!

Na szczycie przywódców 7 najbardziej rozwiniętych państw świata i Rosji w Heiligendamm było jak zawsze. Przez kilka dni światowe media relacjonowały festiwal rozmów elitarnych i kuluarowych konsultacji, oficjalnych komunikatów i przyjacielskich przechadzek prezydentów, konferencji prasowych i zgodnych oświadczeń. Uśmiechy na zdjęciu rodzinnym zrobionym na koniec obrad mają świadczyć o wzajemnym zrozumieniu przywódców gwarantujących, że wszystko na tym najlepszym ze światów idzie w dobrą stronę. Niemieckie władze zrobiły wiele, aby nic nie zepsuło dobrego samopoczucia znamienitym gościom. Kosztem 93 mln euro zmobilizowano 16 tysięcy policjantów, wzniesiono kilkunastokilometrowy mur i wiele zapór szczelnie oddzielających ich od świata, o losach którego mieli decydować. Federalny Urząd Bezpieczeństwa zadbał, by uszu wielkich tego świata nie drażniły żadne zgrzyty, żadne okrzyki wznoszone przez dziesiątki tysięcy demonstrantów. Już na kilka tygodni przed szczytem usiłowano ich uciszyć: najpierw dokonując serii nalotów i rewizji w lokalach lewicowych organizacji, redakcji i mieszkaniach prywatnych działaczy podejrzewanych o niecne intencje, a później zakazując największych demonstracji (i łamiąc tym samym konstytucję RFN). Ciekawe, że urzędowi obrońcy praw człowieka, zawsze gotowi do potępień Białorusi, Iranu czy Syrii, tym razem nie byli zbyt oburzeni. Czyżby państwa nazywające się demokratycznymi były zwolnione z obowiązku stosowania zasad demokracji?

A jednak nie udało się spacyfikować protestów. Ponad sto tysięcy ludzi obległo nadmorski kurort, by zademonstrować sprzeciw wobec globalnych niesprawiedliwości, za które współodpowiedzialność spada na elity państw G8. Podczas walk ulicznych, które wybuchały kilkakrotnie i podczas brutalnych represji policyjnych, które trwały nieprzerwanie, media beztrosko szafowały mianem chuliganów. Wydaje się jednak, że obdarzały nim niewłaściwych ludzi. I nie chodzi tu tylko o wiele dowodów wskazujących, że to policja prowokowała przemoc. Problem w tym, że szkody, jakie mogą wyrządzić radykalni demonstranci są niczym w porównaniu z tymi wyrządzanymi przez przywódców G8. Rzecz jasna nie mamy zamiaru nazywać gości Angeli Merkel chuliganami. Tego, co robią George W. Bush i Tony Blair w Iraku i Afganistanie, a Władimir Putin w Czeczenii nie da się trzeźwo określić mianem chuliganstwa.

W samej idei tych spotkań jest coś perwersyjnego. Oto najbogatsi spotykają się, by decydować o losach biednych. Chętnie przedstawiają się jako liderzy globalnej demokracji postępu. Cóż z tego, jeśli ich spotkanie jest kpiną z demokracji a promowane rozwiązania zagrażają najważniejszym zdobyczom społecznym. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej niedemokratycznego, niż ten klub prezydentów z najwyższej półki, wybranych w krajach zamieszkiwanych przez zaledwie 14% ziemskiej populacji, którzy uzurpują sobie prawo do podejmowania decyzji dotyczących całej ludzkości? Czy fakt tego nie potęguje okoliczność, że do stołu obrad łaskawie dopuszcza się arbitralnie wybranych przedstawicieli biednego Południa planety? Czy wreszcie towarzyszący spotkaniom pokaz siły pogardy dla prawa do demonstrowania nie przekonuje, że mamy do czynienia z bezwstydną ostentacją władzy, która „wyzwoliła się" spod kontroli społeczeństw i pozostaje lojalna już tylko wobec logiki maksymalizacji zysku dominujących sektorów kapitału?

A może jednak braki demokracji rekompensuje dobra wola zaangażowanie polityków? W Heiligendamm przywódcy po raz pierwszy zajęli się kwestiami ekologicznymi. Konkretnie zagrożeniem globalnym ociepleniem i sposobami zapobieżenia nadciągającej katastrofie. Nawet pobłażany klęskami w Iraku, Afganistanie i wyborach do kongresu prezydent Bush musiał spuścić z tonu. Jeżeli jeszcze kilka lat temu Biały Dom nie chciał słyszeć o podporządkowaniu się postanowieniom protokołu z Kioto, to obecnie na wszelkie sposoby usiłuje zatrzeć niedobre wrażenie stworzone swą ówczesną postawą. Wprawdzie Bush zdobył się tylko na niewiele znaczące ogólniki, ale przynajmniej werbalnie uznał wagę ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Alterglobaliści, którzy od wielu lat usiłują zmusić największe państwa do zajęcia się problemami ekologicznymi, powinni być zadowoleni. Niestety, sytuacja nie wygląda tak różowo. Dotychczasowe doświadczenia ze szczytami G8 pokazują, że droga od najbardziej nawet szumnych obietnic do realizacji zawartych w nich postulatów jest trudna, a zwykle niemożliwa. Sytuacja przypomina wydarzenia sprzed dwóch lat, gdy podczas szczytu w szkockim Gleneagles szefowie G8 zajęli się kwestią redukcji zadłużenia najbiedniejszych państw świata. Także i wtedy wydawało się że wieloletnie działania ruchów społecznych przyniosły efekty, że oddolna presja zmusiła wreszcie wielkich tego świata do zmiany polityki gospodarczej, do odejścia od nieludzkich reguł narzucanych najbiedniejszym i darowania przynajmniej części zadłużenia. Jedna z najbardziej zasłużonych w dokumentowaniu i zwalczaniu globalnej nędzy organizacji – londyński Oxfam – ogłosiła wtedy wielki sukces. Pamiętajmy, że liderzy G8 obiecali bardzo niewiele: anulowanie zadłużenia kilku państwom Afryki subsaharyjskiej oraz zwiększenie pomocy o 25 mld. Mimo symbolicznego charakteru tego gestu, uznano go za punkt zwrotny i zapowiedź dalszych działań. Po dwóch latach okazało się, że prezentowana wówczas przez Oxfam wiara w dobre intencje przywódców była grubą naiwnością. Kilka tygodni temu organizacja oskarżyła G8 o niewywiązywanie się z zobowiązań, okazało się bowiem, że do potrzebujących dotarła zaledwie połowa zadeklarowanej pomocy. Tymczasem na południu Europy wyrasta system zapór i murów, mających zatrzymać afrykańskich imigrantów. Co roku setki z nich toną w Morzu Śródziemnym. W tej sytuacji cierpliwość straciły nawet rockowe gwiazdy, których obecność miała uwiarygodnić dobrą wolę przywódców G8. Jeszcze przed spotkaniem w Heiligendamm lider U2 Bono ostro posprzeczał się z Angelą Merkel, a w trakcie trwania szczytu wraz z Bobem Geldofem oświadczył, że G8 to „banda kłamców".

Czy za kilka lat tak samo ocenimy obietnicę przyznania głodującej Afryce dodatkowych 60 mlc złożoną w niemieckim kurorcie? Doświadczenia z Gleneagles każą traktować ustalenia szczytów G8 z bardzo dużym dystansem. Sam fakt wybrania Afryki na beneficjanta nowej pomocy jest bardzo wymowny. Gesty w stosunku do czarnego lądu po prostu najmniej kosztują. Spośród ok. 340 mld dolarów, które rokrocznie przepływają z budżetów państw rozwijających się do kas banków Zachodu z tytułu spłaty odsetek od zaciągniętych długów na Afrykę przypada ledwie 13 mld. Na anulowanie długów nie mogą liczyć płacący najwięcej: Brazylia, Argentyna, Meksyk, państwa Azji i części Europy Wschodniej. Kraje te już dawno spłaciły swe długi. Niestety gwałtowny wzrost oprocentowania na początku lat 80-tych wepchnął je w pętlę odsetek. Jeżeli suma zadłużenia w roku 1980 wynosiła 540 mld dolarów, to w 2001 roku wzrosła do 2,5 biliona (2500) dolarów. Tylko w ciągu dwudziestolecia 1980-2000 biedni zapłacili bogatym ponad 4,6 bilionów dolarów (4600 mld). To tak, jakby zafundowali im 20 planów Marshalla. Inaczej mówiąc, za jednego pozyczonego dolara globalni dłużnicy zwrócili już 8 dolarów, a i tak mają do spłacenia jeszcze 4 dolary. Stosunek środków przeznaczanych na spłatę zadłużenia do bogactw wytwarzanych w krajach Południa wzrósł z 20% w 1980 r. do 42% w 2000 r. Kredyty mające rozruszać tamtejsze gospodarki stały się prawdziwą kulą u nogi.

Finansowa punkcja, którą bogata Północ funduje biednemu Południu ma wyjątkowo perwersyjne dopełnienie. O ile bowiem ta pierwsza domaga się od drugiego rygorystycznego podporządkowania tzw. regułom rynkowym, to sama nie ma najmniejszego zamiaru tego czynić. Neoliberalna globalizacja, której zalety promują liderzy G8, jest niczym innym, jak socjalizmem dla bogatych i kapitalizmem dla biednych. Kolejne rundy rokowań Międzynarodowej Organizacji Handlu (WTO) wymuszają na Trzecim Świecie wyrzeczenie się wspierania tamtejszego rolnictwa, gdy kraje OECD przeznaczają na dopłaty dla swoich rolników ponad 200 mlc dolarów rocznie (i obiecują jedynie zmniejszanie tych dopłat). Jaki jest sens przeznaczania 60 mld dolarów na pomoc humanitarną, gdy jednocześnie kraje będące jej odbiorcami nadal są bezlitośnie wyzyskiwane? Co roku globalne Południe traci 130 mld dolarów na nierówną wymianie z Zachodem, wydaje ok. 40 mld za dostęp do technologii, wreszcie płaci wspomniane już 340 mld odsetek od długów sprzed trzech dekad.

Podczas kryzysów finansowych w Meksyku (1994), Azji (1997) Rosji i Brazylii (1998), Argentynie (2001) Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) i inne instytucje finansowe wyasygnowały setki miliardów dolarów z kieszeni amerykańskich i europejskich podatników, aby ratować zyski prywatnych funduszy inwestycyjnych. Tymczasem społeczeństwom krajów dotkniętych kryzysami zaoferowano... kolejne strategie zaciskania pasa.

Od mniej więcej ćwierć wieku biedni słyszą tę samą śpiewkę: trzijcie wydatki, obniżajcie podatki, prywatyzujcie, liberalizujcie, deregulujcie, otwierajcie rynki, trzymajcie na wodzy związki zawodowe, przyciągajcie inwestorów. Usłyszeli ją także w Heiligendamm. Po 1980 r. wdrażanie „reform" neoliberalnych zalecanych przez MFW, Bank Światowy i rząd USA stało się warunkiem dostępu do kolejnych linii kredytowych, tak potrzebnych krajom schwytanym w pętlę zadłużenia. Spragnione sukcesów rządy zaciskały więc pasa swych obywateli, otwierały lokalne rynki, rezygnowały z protekcjonizmu i zdobyczy socjalnych. Efekt: świat jest dziś o wiele bardziej podzielony niż dwie dekady temu. Bogaci stali się bogatsi, ale biedni zbiednieli jeszcze bardziej. Otwarciu granic przed kapitałem towarzyszył ich zamykanie przed ludźmi. Liczba osób żyjących za mniej niż dwa dolary dziennie obejmuje dziś połowę populacji planety. Różnica między 20% najbogatszych a 20% najbiedniejszych, która w połowie lat 70-tych wynosiła 1 do 60, obecnie wyraża się stosunkiem 1 do 85. Według badań Programu Rozwoju Narodów Zjednoczonych (UNDP), od roku 1980 spadek gospodarczy lub stagnacja dotknęła 100 krajów.

W 70 z nich sytuacja jest dziś gorsza niż w latach 80-tych, a w 43 gorsza niż w latach 70-tych. Ponad 840 milionów ludzi głoduje, a ok. 20 milionów co roku umiera z głodu i niedożywienia. To tylko niektóre skutki ekspansji neoliberalizmu, promowanego przez przywódców G8. Jak pokazuje orzykład Iraku, prywatyzowanego (czytaj rozgrabianego) przez korporacje naftowe, promocja ta może się odbywać także na drodze militarnej agresji.

G8 przedstawiane jest często jako forum powołane do rozwiązywania problemów świata. Prawda brzmi jednak tak, że to ono jest problemem. Aby ukryć ten niewygodny fakt globalna elita władzy, a za nią wiele mediów usiłuje zdyskredytować swoich. To bardzo wygodna strategia. Przedstawienie przeciwnika politycznego jako chuligana-przestępcy pozwala nie przejmować się tym, co ma on do powiedzenia. Wszelako fakt, że przywódcy G8 tak bardzo boją się konfrontacji z krytyką alterglobalistów dowodzi, że to ci ostatni mają rację. Im szybciej to zrozumiemy, tym prędzej wygłaszane przy okazji kolejnych szczytów frazesy będą mogły przekształcić się w realne działania.

Przemysław Wielgosz
Źródło: "Recykling Idei"

Medialna polityka antystrajkowa

O przyczynach i przebiegu strajku pracowników służby zdrowia, który był rzekomo „politycznie wykorzystywany do tego, by rząd Jarosława Kaczyńskiego przestał istnieć" i podżegany przez „szatanów i anarchistów", nie będzimy się rozpisywać, gdyż było o nim i tak wystarczająco głośno w systemowych mediach. Zwrócimy uwagę właśnie na owe media i sposób w jaki prezentują protesty pracownicze, przytaczając tekst działacza szczecińskiej Inicjatywy Pracowniczej.

Podczas jednej z Ogólnopolskich Konferencji Pracowniczych przysłuchiwałem się wykładowi o okresie tzw. pierwszej Solidarności. Jeden z uczestników tamtych wydarzeń starał się odpowiedzieć na pytanie - na bazie własnych doświadczeń, jak też doświadczeń samego ruchu - kiedy strajk jest skuteczny. Wysunął dwie główne zasady jakie sprawiają, że protest pracowników staje się niebezpieczny dla władzy i przedsiębiorcy.

Pierwsza polegała na tym, aby nie interesować się legalnością lub nielegalnością protestu. Jest to pewien poziom świadomości uczestników strajku. Pracownicy podejmujący akcje protestacyjną nie patrzą czy to jest zgodne czy niezgodne z literą prawa ustanawiają się w sposób antagonistyczny do całości systemu, zastępując niejako prawo istniejące swoim własnym. Przyjmują, że mają prawo do strajku, mają prawo walczyć o lepszy byt dla siebie i innych ludzi pracy, a w ostateczności dla całego społeczeństwa. Jednocześnie w swojej słusznej, we własnym przekonaniu, walce kierują się nie zasadą legalności, ale skuteczności. Wymagając jednocześnie implicite akceptacji przez władze tych form oporu, albo wejścia w bezpośrednią konfrontację. Odwoływanie się do prawa pisanego nie stanowi w tym przypadku legitymizacji poczynań władzy, ale wręcz jest okrzykiem bojowym przeciwko pracownikom.

Drugą zasadą jest poparcie społeczne dla strajku. Bez wsparcia ludności lokalnej czy krajowej, a w niektórych przypadkach światowej, protestujący tracą oparcie, stają się wyizolowani, a tym samym coraz słabsi. Słabnie wtedy i zasada pierwsza, pojawia się kwestionowanie własnego prawa do protestu i żądań, a nawet zmiany prawa – w ekstremalnych sytuacjach całego systemu.
Można powiedzieć, że zasada druga jest zasadą nadrzędną. Żaden protest się nie powiedzie, nie będzie skuteczny, jeśli nie dostanie wsparcia od społeczeństwa. Jest to źródło siły dla pracowników, a źródło lęku dla pracodawców i polityków.

Takie były moje refleksje po wykładzie. Potem zacząłem przysłuchiwać się relacjom ze strajków w mediach i zauważyłem, że starają się one oddzielać protestujących od reszty społeczeństwa. Najczęściej schemat wygląda tak, że pierwsze informacje dotyczą tego, dlaczego pracownicy postanowili zastrajkować (najczęściej postulaty redukując do kwestii płacowych) następnie, gdy pracodawca bądź politycy rzucą ochłap, media przedstawiają to w taki sposób, że "dawali im, a oni nie wzięli". Niby uzasadniony i słuszny protest pracowników za jednym pociągnięciem pióra, za jednym spotem reklamowym zwanym wiadomościami, przemienia się w akt rozpieszczonych komuną pracowników, którzy mają irracjonalne żądania. By nie sięgać daleko, tak było między innymi z pracownikami Służby Zdrowa.

Media z jednej strony starają się redukować postulaty pracownicze do wysokości zarobków, z drugiej ukazują 'cierpienie' społeczeństwa w związku z danym strajkiem, akcentują niedogodności. Protest zostaje przyćmiony nieszczęśliwymi obywatelami, którzy przez pracowników nie mogą tego i tamtego. Sprawia to, że pracownicy zaczynają się jawić jako egoistyczna grupa, nie licząca się

z potrzebami innych ludzi, i to pazerna na kasę.

Media starają się nie dopuścić przede wszystkim do uświadomienia sobie przez społeczeństwo, kto jest odpowiedzialny za strajk, a tym samym za niedogodności. Starają się dlatego zarysowywać sprzeczności interesów między klientem a pracownikiem. Tymczasem i klient i pracownik mają w tym przypadku wspólnego wroga. Faktem jest, że klient może uważać, że szybkie zdławienie strajku rozwiąże niedogodności. Tylko że klient jest też najczęściej pracownikiem, siłą najemną, oraz członkiem społeczności. Zdławienie strajku sprawia, że łamie się kręgosłup ludziom pracy, mamy gorsze warunki zatrudnienia w danym sektorze czy firmie, a tym samym wzrost frustracji i agresji we wspólnocie lokalnej, obniżenie się standardu życia, oraz możliwe, że złe warunki pracy dla nas samych, czy naszych bliskich. Jesteśmy fragmentem społeczeństwa, częścią protestu – właśnie ten wspólnotowy charakter strajku media starają się zatuszować. Uczynić niewidocznym.

Wiadomo, że strajk nie jest dniem powszednim, a deklaracją walki ludzi pracy przeciwko pracodawcy i kapitaliście. Najczęściej dochodzi do niego w sytuacji, gdy ludzie naprawdę mają dość. Na przykład o sytuacji na poczcie słyszało się do dawna, taki stan rzeczy trwał długi okres czasu, aż wreszcie pracownicy powiedzieli – Dość! Dłużej tak nie może być! Strajk, jako stan wojny, z konieczności powoduje utrudnienia, jednak nie jest on skierowany przeciwko klientom, pasażerom, pacjentom, ale przeciwko gnębiącej władzy. Władzy, która w pewnym sensie gnębi nas wszystkich.

Podsumowując można powiedzieć, że rola mediów sprowadza się do: mistyfikacji wspólnotowego charakteru strajku społeczeństwa przeciwko władzy; po drugie na dezinformacji polegającej na niepodawaniu pełnych danych odnośnie żądań pracowników, przebiegu negocjacji i realnych ustępstwach; po trzecie, na ustawianiu samego protestu na przegranych pozycjach – protest powinien zakończyć się jak najszybciej i jedynie kompromisem. W trzecim przypadku ujawnia się milcząca zasada przyjmowana przez media, iż realizacja wszystkich postulatów pracowników byłaby czymś niestosownym – niezależnie nawet do racjonalności tych postulatów.

Roli mediów w polityce antyrobotniczej, w walce z protestującymi się nie dostrzega. Jest rzadko podkreślana, a to właśnie media mogą stanowić o powodzeniu lub nie - zwłaszcza długiego i ogólnopolskiego strajku. A raczej to, czy będziemy wierzyć w ich Prawdę, czy pomyślimy – sami i wspólnie.

Oski

źródło: *WWW.CIA.BZZZ.NET*

Czym jest *STRAJK GENERALNY?*

Gdy lokalne strajki przerastają w strajk generalny, obejmujący cały kraj lub przynajmniej wszystkie ważniejsze jego ośrodki przemysłowe, władza przechodzi w ręce robotników zrzeszonych w niezależnych komitetach strajkowych. Państwo ze swoją biurokracją i „siłami porządku" jak i prywatni kapitaliści ze swoimi nadzorcami produkcji, zostają sparaliżowani. Samorząd wytworców zastępuje aparat państwowy. Władza, jaką pracownicy zdobywają w czasie strajku jest wprawdzie tylko władzą negatywną, władzą polegającą na zatrzymaniu produkcji – ale zatrzymanie produkcji jest potrzebne, aby było można ponownie ją uruchomić, ale już w ramach innych stosunków między pracownikami i ich grupami.

Strajk generalny syndykaliści rozumieli jako proces, w toku, którego zmienia się funkcja związku zawodowego: z organizacji broniącej ekonomicznych interesów pracowników, w obrębie istniejącego ustroju społeczno-gospodarczego, przekształca się w zalążek nowego ustroju samorządowego. Ten kierunek dyktuje sama logika walki strajkowej. Związki zawodowe, których zadaniem podczas strajku jest utrzymywanie łączności między protestującymi, zapewnienie im wyżywienia i bezpieczeństwa, muszą – w miarę przedużenia się strajku. – przystąpić do samodzielnego zorganizowania pracy w niezbędnych zakładach, aż po wielkie przedsiębiorstwa produkujące środki produkcji.

W ten sposób dokonuje się rewolucja społeczna – gruntowna przebudowa społecznego ustroju z wywłaszczeniem przedsiębiorców i zburzeniem państwowej machiny biurokratycznej. Syndykaliści podkreślali przy tym, że jest to rewolucja „pokojowa", która w zasadzie wyklucza możliwość starć zbrojnych i przelewu krwi. Strajk generalny toczy się, bowiem wszędzie i zarazem nigdzie: nie istnieje jedno określone centrum, przeciwko któremu obrońcy dotychczasowego porządku mogliby skierować siłę militarną, jak to miało miejsce w czasie tłumienia Komuny Paryskiej w 1871 roku. Siła, jaką zwracają robotnicy przeciwko istniejącemu ustrojowi, nie jest siłą fizyczną. Siłą zorganizowanych pracowników jest ich solidarność, wielkość i przemość ich własnej organizacji, nie zaś uzbrojenie.

Ideę strajku generalnego starano się zdyskredytować, przypisując syndykalistom naiwną wiarę w możliwość przebudowy społeczeństwa „z dnia na dzień". Ten zarzut – formułowany najczęściej przez różnej maści marksistowskich doktrynerów – oparty był na nieporozumieniu. Dla syndykalistów, bowiem strajk nie był aktem, ale procesem o wymiarach historycznych – procesem rewolucji społecznej.

Przeprowadzenie zwycięskiego strajku generalnego nie jest zawsze i wszędzie możliwe. Jego zwycięstwo jest możliwe dopiero wówczas, gdy pracownicy ostatecznie stracili już wszelkie złudzenia odnośnie istniejącego systemu i są zdolni nadać swojej walce postać zorganizowanej ogólnokrajowej akcji.

Bunt reporterów TVP

Jak donosi gazeta.pl w zespole "Wiadomości" TVP doszło w ostatnią środę do buntu. Wtedy to pielęgniarki po całonocnym blokowaniu ulicy w oczekiwaniu na swoje przedstawicielki w Kancelarii Premiera zostały brutalnie zepchnięte przez po icję.

Informacje o tym były newsem dnia we wszystkich stacjach TV i gazetach, ale szefowa "Wiadomości", Dorota Macieja. uznała, że jest to "incydentalna sprawa kilku pielęgniarek, które same nie wiedzą, czego chcą, na dodatek ich protest to sprawa polityczna". I postanowiła, że jako pierwsza (czyli najważniejsza) ma iść zapowiedź rozpoczynającego się w czwartek szczytu Unii Europejskiej, na którym brylować miał któryś z Kaczyńskich (wtedy jeszcze nie było wiadomo czy pojedzie Jarek, czy Lech). Dziennikarze jednak zbuntowali się i puścili jako pierwszą wiadomość o zepchnięciu pielęgniarek, mówiąc, że jak szczyt się zacznie to będzie pierwszy. Macieja po emisji zarzuciła dziennikarzom, że uprawiają politykę.

(...) I Z przecieków z TVP wynika, że Agencja Informacyjna w tajemnicy przygotowuje nowych prowadzących i nowych wydawców, chcąc zapewne nimi zastąpić niepokornych. Spiowadzają np. Miłosza Horodyskiego, który został wyrzucony z publicznego radia w Krakowie na jesieni 2006 r., ponieważ na sprzęcie radiowym nagrywał reklamówki wyborcze PiS.

WWW.CIA.BZZZ.NET